

Jan Rokita: Fundament geografii

Sojusz egzotyczny – to nie znaczy sojusz zły. To sojusz, który dla stu najrozmaitszych racji historycznych, politycznych, czy militarnych, może być pożyteczny. Tyle tylko, że zawsze obciążony będzie jakimś szczególnym ryzykiem, biorącym się z braku zakorzenienia w geografii. Tymczasem siła aliansu wzniesionego na fundamencie geografii bierze się z samej obiektywnej konieczności geograficznej współ-egzystencji – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

O ile mnie pamięć nie myli, to Cat-Mackiewicz ukuł wyrażonko: „sojusze egzotyczne”, na określenie polskich aliansów z Francją i Anglią sprzed II wojny światowej. Po nim Kisiel w swej felietonistyce lubił (jak to Kisiel) ironizować na temat polskiej polityki z użyciem tego na poły kpiarskiego frazesu. Nie mam tutaj zamiaru rozpamiętywać znanej każdemu Polakowi kwadratury koła, sprowadzającej się do pytania, czy w tamtej politycznej rzeczywistości, zdominowanej przez imperia Stalina i Hitlera, Polska mogła w ogóle szukać sojuszów mniej egzotycznych. Zwłaszcza, że z odpowiedzi na to pytanie wynika mało, albo zgoła nic, dla współczesnych dylematów polskiej polityki. Ten na poły żartobliwy frazes ma w sobie jednak coś śmiertelnie poważnego i zasadniczego, gdy idzie o sposób rozumienia polskich interesów państwowych. Tym czymś jest charakteryzujący go szacunek, ba... nawet swoiste nabożeństwo żywione dla geografii.

Bowiem sojusz egzotyczny – to nie znaczy sojusz zły, niepotrzebny, sprzeczny z polskimi interesami. Wcale nie! To sojusz, który dla stu najrozmaitszych racji historycznych, politycznych, czy militarnych, może być uzasadniony i pożyteczny. Tyle tylko, że zawsze obciążony będzie jakimś szczególnym ryzykiem, biorącym się z braku zakorzenienia w geografii. Tymczasem siła aliansu wzniesionego na fundamencie geografii (o ile oczywiście stoją za nim wspólne interesy, a nie sąsiedzka wrogość) bierze się z samej obiektywnej konieczności geograficznej współ-egzystencji. To fakt bezsporny, że amerykańska potęga jest dziś gwarantem bezpieczeństwa Polski, a tak naprawdę całej Europy, ale jest nim przecież nie z tej przyczyny, że być musi, lecz tylko dlatego, że tak chce i tak od czasu II wojny światowej definiuje swoje imperialne interesy. Jest zatem najzupełniej do pomyślenia, że któregoś dnia może owe interesy zdefiniować inaczej. To właśnie z tej przyczyny co jakiś czas przez Europę przewala się kolejna fala obaw o następstwa jakiegoś hipotetycznego amerykańskiego „pivot to Asia”. Ostatnia przycichła dopiero co, pod wpływem wojny na Ukrainie i postępującego procesu „wciągania się” Ameryki (trochę nawet wbrew jej własnej woli) w tę kolejną już europejską w swej istocie wojnę.

Jest najzupełniej do pomyślenia, że któregoś dnia USA mogą swoje interesy zdefiniować inaczej

Inaczej jest z Niemcami, Ukrainą, Europą Środką, czy Rosją. To geografia sprawia, że ani nie da się ich usunąć z horyzontu polskiej

polityki, ani (co w tym przypadku ważniejsze) Polska nie może nigdy zniknąć z ich politycznego widnokregu. Rosja, poza krótkim i historycznie wyjątkowym interludium przywództwa Borysa Jelcyna,

pozostaje krajem otwarcie wrogim, a od jakiegoś czasu niekryjącym nawet tego, iż to w Polsce upatruje owego szatana, będącego cichym sprawcą wielu spośród jej nieszczęść. Sojusz z Ukrainą jest tak naprawdę całkiem nową, niespodzianą i otwierającą się dopiero kartą historii, która jednak dopiero w przyszłości może ujawnić tkwiący w niej przeogromny, powoli odsłaniający się potencjał. Europa Środka jako sojusznik przydaje się od czasu do czasu, na przykład, gdy trzeba coś negocjować z Brukselą, ale generalnie to sojusznik marny: rozczłonkowany, zakompleksiony i zorientowany na usługność wobec europejskich mocarstw. No i są jeszcze Niemcy – potęga, która za sprawą zdarzeń na wschodzie, wpadła ostatnio w zakłopotanie i strach, oraz dostała kołowacizny co do swojej dalszej roli i misji w Europie.

Te skołowacizny na jakąś chwilę Niemcy, świadome, iż za sprawą swej własnej polityki pozwoliły historii wystrychnąć się na dudka, odkryły nagle w samych sobie niespodziewaną dotąd potrzebę bezpieczeństwa. Najważniejszą lekcją, jaką odrabia dziś nasz zachodni sąsiad, stała się lekcja o szkodliwości i ryzyku prowadzenia politycznej gry z diabłem, tylko po to, aby zapewnić sobie łatwy i szybszy od innych wzrost dobrobytu. Jak każdy normalny kraj, Niemcy chcą teraz jakoś ratować swój dobrobyt, ale już nie za każdą cenę, a w każdym razie nie za cenę traconego krok po kroku bezpieczeństwa. Wiedzą już, że iluzją jest świat, w którym dzieją się co prawda krwawe wojny i okrutne represje, ale wszystko to nie dotyczy pacyfistycznych Niemiec, gdyż te trwale i ostatecznie przeszły na jakąś drugą, lepszą stronę historii. Nie, nie! Niemcy nie zamierzają iść na żadną wojnę, a już zwłaszcza zrobić wszystko, aby ktoś ich przypadkiem nie wysłał na wojnę z Rosją. Ale na gwałt zwracają się do swych bliskich geograficznych partnerów, aby nad północno-środkową Europą, którą traktują jako matecznik swoich ekonomicznych interesów, zbudować „kopułę ochronną”, tak by

ludziom, miastom, a przede wszystkim przemysłowi i handlowi – czyli samemu sercu współczesnych Niemiec, nie mogły zagrozić wraże bomby, rakiety czy drony.

Takie jest źródło ściśle geograficznego, zbudowanego przez Berlin aliansu, sięgającego od Finlandii po Anglię, i od Niderlandów po Węgry. Jego przedmiotem ma być wyłącznie wspólna organizacja obrony północno-środkowej (czyli naszej) części Europy, przed potencjalnym przyszłym atakiem z powietrza. Mówi o tym wyraźnie memorandum piętnastu krajów, ogłoszone w Brukseli w ubiegły czwartek. Pod niemiecką ideą podpisały się zarówno państwa dysponujące nie od dziś nowoczesną obroną powietrzną (np. Anglia), jak i państwa do dziś bezbronne w tej mierze (kraje bałtyckie). Bo jak nie bez racji zauważyła analityczka rządowego Ośrodka Studiów Wschodnich, owo memorandum to raczej „sygnał chęci dalszej współpracy niżli konkretny plan”. Albo lepiej należałoby powiedzieć – sygnał politycznej akceptacji dla tak nagle i nieoczekiwanie rozbudzonej niemieckiej potrzeby bezpieczeństwa, jak również woli wykorzystania tej potrzeby dla poprawy własnego narodowego bezpieczeństwa.

*Skoro historia zdaje nam się
po raz kolejny fundować nie
najszcześniejszy los
przedmurza Europy, to będzie
lepiej, jeśli tym razem będzie
to przynajmniej przedmurze
polsko-niemieckie*

Nigdy nie
interesowałem się
militariami i nie
mam wiedzy
potrzebnej do
zajmowania
stanowiska w materii
nowoczesnej wojny
czy technik obrony.
Tym bardziej zatem

nie mam powodu wątpić w to, co mówi prezydent Duda, wedle którego Polska buduje właśnie najnowocześniejszy system obrony powietrznej na świecie i wyprzedza pod tym względem sojuszników podpisanych pod brukselskim memorandum. Jeśli jednak tak jest, to tym bardziej zdaje mi się, iż z politycznych powodów Polska nie powinna tak ostentacyjnie stać okoniem wobec niemieckiej inicjatywy. Tym bardziej, że parę tygodni temu, gdy niemiecki kanclerz przedkładał w Pradze po raz pierwszy ten projekt, Polska została przezeń wskazana na samym początku krótkiej listy krajów, z którymi Berlin chciałby współtworzyć ową „kopułę ochronną” nad północno-środkową Europą. Skoro jesteśmy liderem na tym właśnie polu (jak zapewnia prezydent, a także minister obrony), to w przeciwieństwie do bardziej cofniętych partnerów, moglibyśmy wpłynąć na przyszły kształt obrony naszej części Europy, nie ryzykując zarazem, iż na przyszłość Niemcy będą umacniać się militarnie poza naszym wpływem, a być może nawet poza naszą wiedzą. Nie jest to przecież scenariusz, o jakim z oczywistych względów marzyłby jakikolwiek Polak. A skoro historia zdaje nam się po raz kolejny fundować nie najszcześniejszy los przedmurza Europy, to z pewnością będzie lepiej, jeśli tym razem będzie to przynajmniej przedmurze polsko-niemieckie, zbudowane na mocnym i wyjątkowo trwałym fundamencie geografii.

Jan Rokita